

# ROBERT GONG

# Anielska

# etiuda



Autor:

*Robert Gong*

Projekt okładki:

*Barbara Kuropiejska-Przybyszewska*

Redakcja:

*Grażyna Dobromilska*

Opracowanie i korekta:

*Grażyna Dobromilska*

*www.madgraf.eu www.blog.madgraf.eu*

© Copyright by Robert Gong, Radom 2015

© Copyright by ALFA-ZET 7, Radom 2015

ISBN 978-83-65091-01-7

Wszystkie prawa zastrzeżone. Książka nie może być reprodukowana ani odczytywana w środkach masowego przekazu bez pisemnej zgody autora.

Skład i łamanie:

*Grażyna Dobromilska*

Druk i oprawa:

*OSDW Azymut Sp. z o.o.*

*93-192 Łódź ul. Senatorska 31*

Wydawca:

*ALFA-ZET 7*

*Małgorzata Gałuszka*

*26-600 Radom ul. Miła 17*

*e-mail: biuro@alfa-zet.pl*

Rok wydania

2015

# I

Krocząc trzecią aleją Najświętszej Marii Panny, minął hotel Patria i znalazł się na szerokim deptaku pomiędzy parkami prowadzącym pod szczyt klasztoru na Jasnej Górze. Skręcił w lewo i poszedł wzdłuż wysokiego muru z czerwonej cegły, rozglądając się z zaciekawieniem na boki. Mimowolnie zaczął konfrontować rzeczywistość z tym, co widział w telewizji i na starych pocztówkach, które przez długie lata otrzymywał od swojej już zmarłej babci. Wszystko było jakieś inne. Nawet ponad stumetrowa „Święta Wieża” wydała mu się dużo mniejsza. Zarzucony na ramię stary harcerski plecak i niewygodne skórzane traperki uwierały go coraz bardziej. Wszedł na dziedziniec, gdzie zobaczył grupkę turystów, a pośrodku nich wysokiego jasnowłosego człowieka w garniturze, trzymającego w ręce biało-żółtą teczkę. Zbliżył się i wpatrzony w postawnego mężczyznę, zaczął przysłuchiwać się opowieści o bohaterskim księdzu Kordeckim, który z trzystoma bezgranicznie oddanymi ludźmi bronił

klasztoru przed nawałnicą szwedzką Karola Gustawa. Prawie jak pod Termopilami – pomyślał, gdzie dzielny król grecki Leonidas z trzystoma Spartanami zatrzymał w wąskim wąwozie półmilionową armię perską. Prawie, bo nieustraszonego Leonidasa wrogowie pozbawili głowy, przybili do krzyża i spalili, a Kordecki odparł te dzikie hordy szwedzkie i to był początek końca tej niezapowiedzianej wizyty Skandynawów na ziemiach polskich. Mój Boże – mruknął pod nosem. – Taka potęga przeciwko niewielu? Czy dziś są jeszcze tacy ludzie, czy ja bym tak potrafił? Walczyłbym czy zdezerterował? Zadał sobie retoryczne pytanie i wszedł do środka kaplicy, aby w końcu po latach dawanych sobie obietnic na własne oczy zobaczyć obraz Czarnej Madonny.

Wewnątrz było chłodno i bardzo tłoczno. Delikatnie, aby nikogo nie urazić, przepychał się do przodu. – Jest – wyszeptał. Przeżegnał się i zniżył głowę. Chciał odmówić pacierz, jednak napierający tłum z tyłu przesunął go w lewą stronę ku wyjściu ze świątyni. Włożył dwa palce do kropielnicy ze święconą wodą, przykucnął, wykonał znak krzyża na piersi i wyszedł. Główna brama teraz wydała mu się jakby większa, a przechodzący ludzie jacyś inni. Dziwny stan lekkości, spełnienia, dziecięcej

niewinności niósł go teraz jak małą papierową łódkę po spokojnych falach oceanu.

Opuścił teren klasztoru, usiadł w cieniu na ławce w parku i bezmyślnie przyglądał się wolno sunącym pielgrzymom. Spojrzał na wieżę Jasnej Góry i pomyślał: – Magiczne miejsce, przedziwne, niezwykione. Ani Szwedzi, ani Niemcy, a później nawet komuniści nie zdołali zawłaszczyć sobie klasztoru. Coś w tym jest i to na pewno nie przypadek. Taka niezwykiona ziemską twierdza Pana Boga. Odruchowo spojrzął na zegarek.

Otworzył plecak, wyjął kanapki, termos z herbatą i zaczął jeść. Pociąg powrotny do Warszawy miał dopieć po dwudziestej pierwszej. Przeżuwając kolejną kromkę z żółtym serem, myślał o nadchodzącym nowym roku akademickim. O pracy magisterskiej i o właśnie kończących się wakacjach. Pochwycił termos, ponownie nalał herbatę do kubka i niezdarnie postawił go na brzegu ławki. Ten przechylił się, spadł i zaczął turlać się po chodniku. Robert zdjął z kolan plecak, położył na nim nadgryzioną kanapkę i zerwał się z ławki w pogoni za termosem. Zrobił kilka kroków, podniósł go i kiedy się wyprostował, dostrzegł stojącą przed nim filigranową rudowłosą dziewczynę o urodzie do złudzenia przypominającej młodą Jenis Joplin. Uśmiechnęła się przyjaźnie,

widząc jego nieporadność, a on stał przez chwilę z lekko rozchyłonymi ustami w bezruchu, jak katatonik w ostatnim stadium choroby.

– Byłoby się rozlało – wydukał bez sensu.

– Byłoby – powtórzyła dziewczyna za nim i wybuchnęła niepohamowanym śmiechem.

Robert zmieszał się, zarumienił i z osłupiałą miną zapytał:

– Pani też na pielgrzymkę?

Dziewczyna przecząco pokręciła głową. Widząc nieśmiałość i zakłopotanie nieco tylko starszego od siebie chłopaka, pewnie odparła:

– Nie, na spacer.

– A pan? – zapytała po chwili.

Jej rozwiane kręcone włosy lekko roztańczone w promieniach słońca, ciemne okrągłe okulary w drucianych oprawkach, dziecięcy uśmiech, jakiego wcześniej nie widział, i subtelna, a zarazem kobieca twarz, robiły na nim takie wrażenie, iż poczuł się zupełnie sparaliżowany.

– A pan? – powtórzyła pytanie, widząc, iż jest nią oczarowany.

– Aaaa... Ja. Prawda, przepraszam, zamyśliłem się – nadal mówił bez składu. – Nie. Ja nie na spacer.

– Czyli pan chyba nie z Częstochowy?

– Z Warszawy – odrzekł już pewniejszym głosem.  
– Przyszedł pan z pielgrzymką? – dopytywała się.  
– No niestety nie. Przyjechałem dziś rano pociągiem,  
a po dwudziestej pierwszej będę wracał.

– Pan z samej Warszawy?

– Tak – oznajmił dumnie, wydatnie prężąc pierś do przodu. – A czy ma to jakieś znaczenie?

Dziewczyna pokręciła przecząco głową, ręką zaczesalała włosy do tyłu i zupełnie naturalnie oznajmiła:

– Niby nie. Jednak dobrze byłoby poznać kogoś ze stolicy, gdyż od października rozpoczynam tam studia.

– Studia?! – powtórzył zachwycony.

– Tak.

– A na jakim kierunku?

– Dostałam się na historię.

Robert roześmiał się w głos z chłopięcym urokiem na twarzy.

– To pana śmieszy?

– Skądże. Tylko rozmawiamy już chwilę, a nawet się nie przedstawiłem.

Wyciągnął dłoń i szarmancko zniżając głowę, podał rękę.

– Mam na imię Robert, a ty?

Dziewczyna lekko zdziwiona zachowaniem dotąd nieśmiałego mężczyzny cicho odparła:

– Barbara.

– Mogę wiedzieć, co cię tak przed chwilą rozbawiło?  
– zapytała niepewnie.

– Trafniejszym określeniem byłoby: ucieszyło.

– A więc, co takiego cię ucieszyło? – dopytywała zupełnie zdezorientowana.

Robert uśmiechnął się serdecznie i nie kryjąc radości, bezceremonialnie rzucił:

– To od października będziemy się często widywać. Oczywiście, jeżeli tylko zechcesz – i wlepiając w nią wzrok, czekał na akceptację.

– Nie rozumiem – powiedziała zupełnie zdumiona.

– To proste, gdyż ja też studiuje.

Dziewczyna zmieszala się i choć bardzo się starała, nie zdołała tego ukryć. Warszawiak, student, w dodatku przystojny, a co najważniejsze, w jej guście. Zdała sobie sprawę, że zaczyna się jej coraz bardziej podobać. W jednej chwili przypomniała sobie niedawną zabawę z koleżanką kartami tarota, w której wróżba mówiła, iż wkrótce spotka ją coś szczególnego. Zdarzenie, które odmieni całkowicie jej nudne życie. Myślała wówczas o studiach. Jednak teraz z każdą chwilą czuła, iż to coś



właśnie stoi przed nią. Oczarowana zaczęła zdawać sobie sprawę z tego, iż przenika ją uczucie, jakiego od dawna nie doznała. Czyżby? – zapytała samą siebie.

– Teraz ty się zamyśliłaś – z zadumy wesolo wyrwał ją Robert.

– Rzeczywiście, czuję się trochę zmęczona. Miałam ciężki tydzień i chciałam na spacerze trochę się zrelaksować.

– Jakież problemy? – zapytał troskliwie.

– Nie, miałam po prostu dużo pracy w domu.

Przez chwilę zapadło milczenie. Sytuacja wyglądała dokładnie tak, jak na pierwszej randce nastolatków. Oboje zauroczeni mocno sobą, zakłopotani i marzący tylko o pocałunku. Jednak, aby się nie zdradzić z własnym uczuciem, poruszają tematy dalekie od własnych pragnień. O co chodzi? – zapytał siebie w myślach. – Czyżbym ją czymś uraził? A może jej się nie podobam?

– A co studiujesz? – spytała od niechcienia, rozładowując napiętą atmosferę.

– Filozofię – odparł zakłopotany.

– To musi być ciekawy kierunek – rzuciła, nie patrząc mu już w oczy.

– Filozofię, ale też historię.

– To tak można? – zapytała, teraz naprawdę zdziwiona.

– Tak. Przecież bardzo wiele osób studiuje dwa kierunki.

– Ale to chyba bardzo trudne?

– Chwilami nawet bardzo. Jednak, jeżeli nauka jest pasją, a nie przymusem, to prawdziwa frajda – odparł mentorskim tonem.

Basia poprawiła się na lawce i pełna uznania zapytała:

– A jak długo studiujesz?

– Filozofię piąty, a historię dopiero trzeci rok. Teraz na nowo zacząłem pisać pracę magisterską, gdyż mój promotor z poprzedniej nie był zbyt zadowolony.

– A o czym pisziesz?

– Generalnie o stoikach, a tak bardziej konkretnie to o Senecie.

– To ten sam, który pod wpływem Nerona popełnił samobójstwo? – zapytała pro forma, doskonale znając odpowiedź.

– Dokładnie ten sam.

– A ty jesteś stoikiem?

Robert uśmiechnął się sam do siebie i wesoło rzucił:

– Raczej cholerykiem.

– To dlaczego taki temat?

– Dlaczego? – powtórzył za nią. – To dobre pytanie. I niedawno ktoś mi je zadał.

– Kto? – dopytywała się coraz bardziej zaciekawiona.  
– Olek, mój kolega z roku.  
– Wybacz, ale w ogóle cię nie rozumiem. Przecież pisząc pracę, powinieneś identyfikować się z danym nurtem filozofii i postaciami, które w niej ujmujesz, a ty mówisz, że jesteś ich przeciwieństwem. Czyżbyś nie widział w tym niekonsekwencji?

– Szczerze mówiąc, to poszedłem trochę na łatwiznę. Seneka to okres Rzymu za czasów Nerona, a to z kolei w prosty sposób łączy się z historią, czyli moim drugim kierunkiem studiów.

– Więc tej pracy wielkim wyzwaniem intelektualnym chyba nie nazwiesz? – rzuciła trochę zniesmaczona i po chwili dodała: – To tak, jak gdyby uczeń napisał klasówkę, na przykład z matematyki, w domu zamiast w klasie na lekcji, a potem otrzymał za nią piątkę.

Robert podrapał się po głowie. Wymownie spojrzal na Basię i pomyślał: – Boże, taka wspañiała dziewczyna, a idealistka. Od lat to samo: kujon, puszczałska albo despotka. A teraz dziewczyna z moich marzeń, z którą zimą chce się zdobywać wszystkie ośmiotysięczniki ziemi i to od najtrudniejszej strony, i taki problem. Jak nic, czeka mnie starokawalerstwo.

– Uraziłam cię? – zapytała nieoczekiwanie.

– Nie. W tym, co mówisz, masz wiele racji, ale skoro tak dobrze nam się rozmawia, to może pokażesz mi jakieś ciekawe miejsca?

– Spacerok? – zapytała, a na jej twarz powrócił ciepły serdeczny uśmiech.

– A może kawa?

Wymiana spojrzeń mówiła sama za siebie. Dzikie pragnienie bliskości łączące dwoje obcych sobie ludzi, znających się od paru chwil, zaskoczyło ich niczym ulewny deszcz w samym środku lata na gorących piaskach Sahary.

– A co by na taką propozycję powiedziała twoja dziewczyna? – zapytała przebiegle, aby nie wyjść na głupią gąskę, którą łatwo można poderwać w parku.

– Moja dziewczyna? – powtórzył, szukając w myślach sprytnej riposty. – O ile ją znam. Zapewne to, co wszystkie kobiety.

– Czyli co?

– Kanalia, szuja, że jak tylko mnie samego gdzieś puścić, to już się oglądam za innymi kobietami. Jak tak mogłeś, czemu mi to zrobiłeś i tak dalej. Chociażby z filmów znasz ten zestaw wymówek. Prawda?

– Prawda – syknęła niczym jadowita kobra. – I to jak najbardziej oczywista – dodała złośliwie z namaszczeniem. – Tacy są przecież po prostu mężczyźni – dorzuciła

jeszcze poirytowana, gdyż miała nadzieję, iż człowiek, który zrobił na niej tak wielkie wrażenie, jest wolny.

– Moja dziewczyna to nic, ale co by powiedział twój chłopak?

Bezczelny – pomyślała. – Nie dość, że ma dziewczynę, to jeszcze się mądrzy.

Przyparta do muru, uważnie spojrziała na Roberta i arogancko zapytała:

– A czy pan go tu gdzieś widzi?

Aluzja była oczywista. Chyba przesadziłem – pomyślał, widząc jej zbulwersowaną minę. – Bałwan ze mnie. To nie akademik. Ona wszystko bierze na poważnie.

Widząc jej nadaśaną minę, poczuł, jak grunt ucieka mu spod nóg, a z romantycznej randki pozostają już tylko popioły i zgliszcza.

– Wyglupilem się. Wybacz. To był taki beznadziejny studencki żart.

– Mam nadzieję, że to był naprawdę żart. Jednak nawet jeżeli, to bardzo prostacki.

Przez chwilę poczuł się tak, jakby otrzymał potężny cios od samego Muhammada Ali. W panice w myślach szukał pośpiesznie dobrego wyjścia z tej niezręcznej sytuacji. Po dłuższej chwili milczenia niepewnie oznajmił:

– No pomyśl, gdybym miał dziewczynę, czy przyjechałbym tu sam? Siedział na ławce w obcym mieście i czekał do wieczora na pociąg?

– A więc, dlaczego tak powiedziałeś? – rzuciła zraniona z pretensją w głosie.

– Bo chciałem dowiedzieć się, czy ty masz kogoś.

– To nie lepiej zapytać wprost?

Robert zawahał się przez chwilę, opuścił wzrok, a policzki jego oblał widoczny rumieniec. Położył plecak na kolanach i jak uczeń wyszeptał:

– To nie takie proste.

– Dlaczego? – zapytała zdziwiona.

Wszystkie nieudane randki, na których wyszedł dotąd na durnia, stanęły mu przed oczyma. Od zawsze podobał się dziewczynom, ale przy bliższym poznaniu u nich momentalnie tracił. Postawny, przystojny mężczyzna. Inteligentny, chwilami szarmancki. Chłopak, przy którego boku niejedna dziewczyna chciałaby spędzić całe swoje życie, był najzwyczajniej w świecie nieśmiały.

– Nie wiem, jak ci to powiedzieć.

– Normalnie – odparła. – Tak jak rozmawiają ze sobą dorośli ludzie.

– Dobrze, ale obiecaj mi, że nie będziesz się śmiała.

– Nigdy nie szydę z rzeczy, które dla innych są ważne.

– Okey – zaczął nieśmiało. – Chciałem wiedzieć, czy masz chłopaka, a nie wiedziałem, jak o to zapytać.

– A po co ci taka wiedza?

Robert zebrął się w sobie. Nabral powietrza w płuca. Plecak położył między nogami i bawiąc się skórzanym paskiem, najczulej, jak tylko potrafił, wyszeptal:

– Bo mi się bardzo podobasz.

Dziewczyna porażona niczym piorunem wzruszyła ramionami, chcąc ukryć fakt, iż na te słowa czekała. Udając obojętną, od niechcenia rzuciła:

– Naprawdę nie wiem, co miałabym ci na to odpowiedzieć. Znamy się niecałą godzinę, a tu takie wyznanie.

– Wyglupilem się, co? – oznajmił zmieszany.

– Wręcz przeciwnie, bardzo cenię sobie szczerość, ale takich wyznań w swoim dość krótkim życiu słyszałam już mnóstwo i nie biorę ich zbyt poważnie.

– A wiesz, dlaczego? – zapytała po chwili, zyskując nad nim przewagę.

Robert ze wstydu obiema dłońmi zasłonił twarz i w milczeniu przecząco pokręcił głową.

– Mam bardzo smutne doświadczenia z chłopakami. Albo dotąd nie trafiłam na tego jedyne, albo wszystkim chodzi o to samo.

– Nie rozumiem – udął zdziwionego.

– To proste. Każdy, z którym się umówiłam, zaraz chciał, abym dała mu dowód swojej miłości. Wiele moich koleżanek z liceum tak zrobiło i są już samotnymi matkami albo mają taką opinię, której nie chciałaby mieć żadna dziewczyna. Teraz już rozumiesz?

– Tak, ale ja nie miałem tego na myśli – odparł zbulwersowany, iż został tak haniebnie posądzony.

– Na pewno? – zapytała drwiąco.

– Bóg mi świadkiem.

– Boga to ty zostaw w spokoju – oburzyła się na powoływanie się w tak błahych sprawach na jej największy autorytet. – Wiedz, że ja chodzę na Oazę i bardzo cenię sobie wartości, które nasz wspaniały ksiądz Marcin nam przekazuje. A te tak zwane dowody miłości to czysta kopolacja, nie mająca nic wspólnego z prawdziwym uczuciem. Zresztą, nie lubię pijaków, uwodzicieli i oszustów. Rok temu przez trzy miesiące chodziłam z takim jednym casanową, który zapewniał mnie, iż ma te same ideały, ale fason trzymał tylko do momentu, kiedy jego rodzice wyjechali na wczasy. Zaprosił mnie wtedy do swojego domu i tak jak wszyscy dotąd, chciał tego samego, a kiedy powiedziałam „nie”, zamknął drzwi na klucz i próbował mnie zgwałcić.

– I co? – zapytał zaciekawiony.



– Nic. Upuściłam mu kryształowym wazonem trochę krwi z tej jego pustej mózgownicy i tak zakończyła się największa miłość mojego życia.

– To smutne – skwitował Robert.

– Smutne? – podniosła głos oburzona. – Przez tego bydlaka straciłam prawie wiarę w ludzi. Dopiero nasz ksiądz pomógł mi się z tego otrząsnąć.

– To już teraz nikomu nigdy nie zaufasz?

– Tego nie powiedziałam, ale musi dużo wody upłynąć w Warcie, aby tak się stało.

Po chwili dodała:

– A wracając do tego, co powiedziałeś, to muszę ci się też do czegoś przyznać.

– Słucham? – powiedział zaciekawiony.

– Ty też wydajesz mi się całkiem interesujący. Robisz dobre wrażenie i tylko dlatego z tobą rozmawiam.

– Czyli mam rozumieć, że też ci się podobam? – zapytał z nadzieją w głosie.

– Oj tam, od razu podobam – odparła, karcąc go przyjaznym uśmiechem. – Po prostu wydajesz mi się jakiś inny, a do podobania jeszcze bardzo daleko. Jednak pamiętaj, że na słowo to ja już żadnemu facetowi nie uwierzę. „Po owocach ich poznacie”, tak napisano w Biblii i tego się trzymam.

– Jasno się wyraziłam? – rzuciła szorstko, patrząc mu jednocześnie zawadiacko w oczy.

– Aż zanadto. Tak więc od dzisiaj będę dużym dojrzałym nierobaczywym jabłkiem.

– Jabłkiem nie – zaproponowała stanowczo.

– Dlaczego?

– Bo Ewa w raju skusiła Adama właśnie jabłkiem i wszystko, co złe na świecie, od tego się zaczęło.

Robert pomyślał przez chwilę i jak z armaty wystrzelił:

– To będę dużym żółtym smakowitym i twardym bananem.

– Świnia – skwitowała krótko.

Roberta wprost zamuroowało i dopiero po dłuższej chwili zapytał:

– Ale dlaczego?

– To było chamskie.

– Wcale nie – zaprotestował.

– To jak mam to rozumieć?

– Zwyczajnie. W podstawówce do piątej klasy byłem o półtorej głowy wyższy od swoich rówieśników, a że chodziłem trochę przygarbiony, to przeżywali mnie wszyscy właśnie banan.

Twarz Basi zrobiła się cała purpurowa ze wstydu. Zaczerpnęła głęboko powietrza, jednak i tak nie

znajdowała słów, aby wyjść z twarzą z tej niezręcznej sytuacji.

– Mówiłaś o mnie, a chyba sama masz robaczywe myśli?

– Nieprawda – oburzyła się przekornie.

– A właśnie, że prawda – zaczął się z nią droczyć.

– Nieprawda – rzuciła zmieszana i zaczęła pięściami delikatnie okładać go po plecach.

Robert śmiał się coraz głośniejszym, a subtelne klepanie było tak przyjemne, iż mogło dla niego trwać wieki.

– No dobrze, niech stanie na twoim – powiedział rozbawiony i ramieniem objął dziewczynę.

Basia przytuliła się do piersi Roberta i cicho wyszeptwała:

– Wiesz, na co dzień slysze tyle dwuznacznych propozycji od chłopaków, że nie pozostaje im dłużna.

– Zresztą, zakończmy ten żaloszny temat i jeżeli ta kawa jest nadal aktualna, to również się chętnie napiję – oznajmiła, odzyskując pewność siebie, ale jednocześnie zdając sobie sprawę z tego, jak strasznie się wyglupila.

– Kawa! Brzmi zachęcająco – odparł. – A co do tych chłopaków, to w ogóle im się nie dziwię. Jedynie powinni popracować nad formą dotarcia do ciebie, ale jeżeli chodzi o twoją osobę, to ich zupełnie rozumiem.

– A co do tego nieszczęsnego banana, to od dziś najlepiej będę zwyczajnym Robertem, który z niczym ci się nie będzie kojarzył. Dobrze?

Dziewczyna z uwagą spojrzała mu głęboko w oczy i przekornie zapytała:

– Teraz będziesz się nade mną znęcał, bo się wyglupiałam?

– Okey. Od teraz milczę. Już nic nie mówię – wtrącił wesoło Robert, przesuwając palec po ustach, imitując zamykanie ich za pomocą zamka błyskawicznego.

Po parunastu metrach drogi przez park w kierunku hotelu „Patria” Basia zatrzymała się i ochoczo oznajmiła:

– Wiem, pójdziemy nad Bałtyk.

Robert spojrzał na nią z niedowierzaniem i z nutką ironii zapytał:

– A to trochę nie za daleko, tak z Częstochowy nad morze!?

– Nie nad morze, tylko nad Bałtyk.

– A to nie to samo? – zapytał jeszcze bardziej zdziwiony.

Basia zaczesala ręką do tyłu włosy i mentorsko oznajmiła:

– Gdybyś chodził z pielgrzymką warszawską co rok, to byś wiedział, że Bałtyk to taki częstochowski Balaton

z drugiej strony Jasnej Góry od ulicy św. Jadwigi. A z ciebie to taki kolejowy pielgrzym, co to, jak mawiała moja świętej pamięci babcia, „boi się sobie sandałków przykurzyć”.

– A na ciebie, jak mawiała twoja babcia, pani mądralo, bo na pielgrzymki nie chodzisz? – odgryzł się ostro.

– Na mnie – powtórzyła za nim i zawiesiła przez chwilę głos.

– Na ciebie, na ciebie – rzucił natarczywie, jakby znalazł odpowiedź.

– Na mnie, mój drogi, babcia nijak nie mówiła.

– Bo pewnie byłaś jej ukochaną wnuczką? – zaśmiał się ironicznie, chcąc pokazać jej wywyższenie się.

– Nie, panie „kolejowy pielgrzymie”. Moja babcia co roku pakowała mi plecak i pod koniec lipca jechałam pociągiem do stolicy. I co roku od pierwszej klasy szkoły podstawowej do siedemnastego roku życia chodziłam na pielgrzymki z moją ciocią z Konstancina, a kiedy umarła, dołączyłam do swojej starej grupy warszawskiej.

Robert opuścił głowę. Twarz jego oblał soczysty rumieniec i pomyślał: – Na wszystko ta dziewczyna ma odpowiedź.

– A do kościoła to kolega w ogóle chodzi? – Napierała teraz już bezpardonowo.

– Oczywiście – odparł z dużą dozą arogancji.

– Ale tak bardziej jak dziś, turystycznie, czy może jednak z lekką nutką religijności?

– Teraz to mnie już chyba obrażasz? – syknął podirytowany tą rozmową.

– Oj tam, od razu obrażasz. Wielki chłop z ciebie. Prawie wykształcony, może nawet inteligentny. Skąd ja mogę wiedzieć, co ci tam w głowie siedzi? Zresztą – ciągnęła dalej – jak się czegoś nie wie, to najlepiej zapytać u źródła. Czyż nieprawda, panie filozofie?

– Prawda!! Prawda! – odburknął, nie kryjąc zażenowania. – To, że nie chodzę na pielgrzymki i opuszczam niedzielne msze święte, to jeszcze nie powód, aby od razu posyłać mnie na stos.

– Nie każdy – mówił już z wyraźnym sarkazmem – moja droga, znajduje się tak blisko kościoła, jak ty, ale to jeszcze nie znaczy, że pod czapką nosi rogi, a z tyłu wyrósł mu właśnie ogon.

– Wiecie, Wasza Świątobliwość? – rzucił na koniec kwiecistego wystąpienia i z całej siły kopnął leżący przed nim kamień.

Słowa Roberta zabrzmiały zabawnie, niczym tłumaczenie się małego chłopczyka, który właśnie poprzez

roztargnienie stłukł salaterkę z budyniem czekoladowym, przyrządzonym przez swoją ukochaną mamę.

Basia przez chwilę wpatrywała się w zmieszanego chłopaka, aż w końcu nie wytrzymała i parsknęła dziewczęcym chichotem.

– Ty mi się tłumaczysz!? – oznajmiła z serdecznym uśmiechem, nie kryjąc ubawu z reakcji Roberta.

– Ty chyba żartujesz!! – wykrzyczał i kontynuował: – Jeszcze się żadnej dziewczynie nie tłumaczyłem i tłumaczyć nigdy nie będę.

Wypiął dumnie pierś w oczekiwaniu na ripostę.

– Uuu. Samiec się w warszawskim paniczu odezwał.

– Nie samiec, tylko prawdziwy mężczyzna – odgryzł się już mniej miło.

– Mężczyzna? – powtórzyła za nim.

– A może taki przyjezdny casanova, który przy byle okazji balamuci młode porządne dziewczyny?!

Robert stanął jak wryty. Spojrzał na Basię, a serce jego przebił niewidzialny sztylet. Na gardle owinęła mu się niewidzialna stalowa obręcz i poczuł, że zrobiło mu się bardzo przykro. Taka wspaniała dziewczyna, a taka niedostępna, a przede wszystkim nieufna – pomyślał. Pokiwał z politowaniem głową. Postukał się wymownie palcem po czole i z zażenowaniem bezpretensjonalnie rzucił:

– Ty się chyba w dzieciństwie za dużo filmów dla dorosłych naoglądałaś i teraz masz problem z odróżnianiem ludzi. Albo cię ten twój ksiądz na zakonnicę chce przerobić i teraz wszystkich mierzysz jedną miarką.

– Ty mi się naprawdę tłumaczysz?! – oznajmiła z nieskrywaną satysfakcją, wprost oczarowana tą sytuacją.

– No niech ci będzie, że się tłumaczę, i co z tego?

Basia spojrzała mu raz jeszcze głębiej w oczy, chrząknęła wydatnie pod nosem i wsunęła swoją małą dłoń w jego wielką jak bochen chleba rękę.

– Chodźmy w końcu nad ten Bałtyk, bo nas tu zima zastanie – powiedziała i delikatnie pociągnęła go za sobą. Po parunastu metrach puściła jego dłoń i od niechcenia zagaiła:

– Podoba ci się moje miasto?

– Znam tylko Aleje, dworzec i nic poza tym. Tak więc trudno mi coś o nim powiedzieć.

Basia opuściła głowę i co jakiś czas uśmiechając się do siebie, szła pod rękę z Robertem w milczeniu. Zeszli w dół ulicą Wieluńską, minęli Rynek Wieluński i znaleźli się na ulicy świętego Rocha.

Niskie szare domy po obu stronach ulicy, dość wąskiej jak na trasę wylotową na Wieluń, nie budziły zachwytu w Robercie.



## II

### Dwadzieścia lat później

Robert obudził się o brzasku. Po nocy dręczącej dziwnym niezrozumiałym koszmarem wszystkie mięśnie, a nawet kości, bolały go jak przy najbardziej ostrym ataku grypy. Wolno zwałókl się z łóżka i niczym inwalida wojenny potruczał do kuchni. Z małej metalowej szkatulki z lekami wyjął termometr i włożył go pod pachę. Nastawił czajnik z wodą na kuchence gazowej, rozsiadł się wygodnie w swym miękko wytapicerowanym krześle i bezmyślnie zapatrzył w palący się pod czajnikiem płomień. Czuł się jak stary przedwojenny zegar, którego wskazówki za chwilę przestaną odmierzać czas. Oślepiające promienie słońca z wolna zaczęły wdzierać się do mieszkania. To dobry znak – pomyślał, spoglądając przez kuchenne okno na swój wypielegnowany ogródek, z którego przed wszystkimi sąsiadami był tak bardzo dumny.

Ciepłe słoneczne dni zawsze napawały go optymizmem. Włożył rękę pod wygniecioną beżową piżamę. Wprawnym ruchem wyciągnął termometr, spojrzal i ku swojemu zdziwieniu odczytał 36,6°C. – Zwykle zmęczenie organizmu – mruknął pod nosem, chowając termometr do szkatułki.

Zalał wrzątkiem kawę, raz jeszcze spojrzal na ogród, uśmiechnął się pod nosem i przeszedł do salonu. Usiadł w głębokim skórzanym fotelu naprzeciwko kominka. Na dużą dębową ławę postawił kubek z kawą, przeciągnął się i odruchowo spojrzal na wiszący nad kominkiem portret swojej zmarłej żony.

– To już tyle lat, kochanie, a wydaje się, jakby to stało się wczoraj – powiedział do portretu i z zaszępiłą miną upił łyk kawy. Westchnął głęboko, spojrzal raz jeszcze na portret, gdy z nostalgii wyrwał go plastikowy odgłos dzwonka domofonu.

– A kogo tam o tej porze niesie? – burknął i podszedł do słuchawki w przedpokoju.

– Słucham – rzucił gburowatym tonem.

– No cześć, Robert, to ja, Julek.

– Wejdz – wydukał z niechęcią w głosie i przycisnął guzik zwalniający elektromagnes w furtce.

Otworzył drzwi i opryskliwie, niczym intruza, powitał swojego odwiecznego przyjaciela.

– Wcześniej to już nie mogłeś przyjść?

Julek stanął jak wryty. Zdziwiony spojrział głęboko w oczy Robertowi i ostro, bez cienia kurtuazji, rzucił:

– Znowu pileś!

– Nie – oburzył się Robert.

Julek kpiąco pokiwał głową i z politowaniem od wejścia oznajmil:

– Ty powinieneś robić doktorat z własnego pijaństwa, a nie z historii drugiej wojny światowej.

– Znowu przyszedłeś mi prawić morały? – odgryzł się gospodarz.

Julek poklepał tylko przyjaciela po ramieniu i wszedł prosto do salonu.

– Widziałem się wczoraj z Zawiewskim i rozmawiałem o twojej obronie.

– I co mówił profesor? – z zaciekawieniem zapytał Robert.

– On niewiele, ale masz przesunięty termin obrony.

– Dlaczego?

– Dlaczego? – parsknął Julek śmiechem.

– No mów, dlaczego, a nie zgrywaj ważniaka.

– Szczerze?

– No tak. Mów bez ogródek.

– Ale tak naprawdę szczerze? – powtórzył za Robertem.

Ten tylko przytakująco kiwnął głową i przeczuwając coś złego, powiedział:

– Tak.

– Pomimo iż z historii jesteś tylko magistrem, sam dobrze wiesz, że na uczelni jesteś najlepszym wykładowcą, a od dziesięciu lat, nie wiedząc, dlaczego, nie możesz zrobić głupiego doktoratu z historii. Fakt, doktorat z filozofii masz już osiem lat, ale w tej dziedzinie powinieneś mieć już co najmniej habilitację.

– Julek, przecież sam wiesz, że śmierć Barbary zupełnie wytrąciła mnie z równowagi.

– Wiem i doskonale to rozumiem, tylko że Basia umarła wieki temu, a ty, zamiast wziąć się w garść, chłasz tę wódę i nawet nie dasz sobie pomóc.

– No ale co ma Zawiewski do mojej pracy doktorskiej?

– Do samej pracy niewiele. Jakies drobne poprawki. Musisz bardziej rozwinąć rozdział o Adolfie Eichmannie.

– No więc o co chodzi?

– A o to, mój serdeczny, kochany przyjacielu, kretynie, że Zawiewski chce, abyś to właśnie ty objął w przyszłości na uczelni katedrę historii po nim.

Robert z wrażenia aż podskoczył do góry. Rzucił się na szyję Julkowi i wykrzyczał:

– To wspaniale!

– Też jestem tego zdania – zimno, nieszczerze wycedził przez zęby. – Jednak jest jeden mały, wręcz bardzo niewielki, szkopuł i oby on cię tylko nie przerósł.

– Jaki – zapytał rozradowany Robert.

– To lepiej sobie usiądź, bo tej wiadomości to możesz naprawdę nie ustać.

Robert parsknął śmiechem i ironicznie rzucił:

– Przynosisz same dobre wieści i robisz z tego jakąś antyczną tragedię.

– No to słuchaj, mój brachu. Od dzisiaj do poniedziałku jesteś na urlopie.

– Ale przecież mam dzisiaj spotkanie z Zawiewskim – bezpardonowo zaoponował Robert.

– Słuchaj i nie przerywaj – ostrym tonem sprowadził go na ziemię Julek.

– Od dzisiaj, jak ci wcześniej powiedziałem, jesteś na urlopie. A teraz słuchaj jeszcze bardziej uważnie.

Robert opadł na fotel z wlepionymi oczyma w Julka, i czując, iż sprawa jest bardzo poważna, nagle zamilkł.

– W poniedziałek, zupełnie trzeźwy, pamiętaj, zupełnie trzeźwy – powtórzył z namaszczeniem – o godzinie

ósmej rano masz stawić się na oddziale odwykowym w Tworkach.

– Co? Chyba ci się całkiem w głowie pomieszało! Ja i Tworki? Dobry żart! – wykrzyczał Julkowi w twarz.

– Słuchaj i nie przerywaj, bo może się to dla ciebie naprawdę źle skończyć.

– Ale jak to, dlaczego? – wydukał już mocno przerażony.

– To jest decyzja Zawiewskiego. Terapia, później powrót na uczelnię i dopiero obrona doktoratu.

– Z tego, co wiem, nikt mnie do tego nie może zmusić i na pewno tam nie pojedę. Po prostu, pogadam z nim i wszystko wróci do normy – odgryzł się arogancko i wstał z fotela.

– Robert, przyjaźnimy się od podstawówki i źle, że do tego doszło, iż ja muszę ci to przekazać, ale jeżeli w poniedziałek tam nie pojedziesz, to na uczelnię masz tylko wstęp do działu kadr. Chyba wiesz, po co?

– Po zwolnienie? – nieśmiało zapytał.

– Tak, i to dyscyplinarne. Tak więc nawet nie próbuj się do końca terapii kontaktować z profesorem, bo tylko pogorszysz swoją sytuację.

– Ale dlaczego, co się takiego stało?

– Dlaczego? – powtórzył za nim Julek. – To, co wyprawialiście z profesorem Dombiakiem przez ostatnie trzy dni na sympozjum naukowym w Krakowie, po prostu urąga ludzkiej przyzwoitości.

– Julek, o czym ty w ogóle mówisz? Przyjeżdżasz do mnie rano i po prostu mnie obrażasz. Czy ty sobie za dużo nie pozwalasz?

– Żalony jesteś – rzucił mu bezceremonialnie. – Nie dość, że nic nie pamiętasz, to jeszcze szukasz winnych.

– Okey. O co tak naprawdę ci chodzi?

– O co? – zaśmiał się ironicznie Julek i ze stoickim spokojem kontynuował:

– Jesteś dobrym historykiem. Wspaniałym wykładowcą z filozofii i etyki, a więc opowiem o pewnych faktach, które dotyczą ściśle etyki, czyli twojej specjalizacji. Chcesz?

– Oczywiście, ja nie mam nic do ukrycia – obruszył się Robert.

– Pojechałeś z Dombiakiem na sympozjum. Tak?

– No tak.

– Tylko że sympozjum odbywało się na Uniwersytecie, a nie w pokoju hotelowym.

– No tak, tylko że trochę się spóźniliśmy i dlatego nie było nas w pierwszym dniu.

## Książki dotychczas wydane Roberta Gonga

1. „W pogoni za miłością”

2. „Wilki”

3. „Kokainowa miłość”

*Powieść zakwalifikowana do Literackiej Nagrody*

*Europy Środkowej Angelus 2014 r.*

4. „666 do mroku”

*Powieść zakwalifikowana do Literackiej Nagrody*

*Europy Środkowej Angelus 2015 r.*

Książki dostępne także w wersji elektronicznej pdf  
oraz na urządzenia mobilne (epub, mobi)  
w księgarniach internetowych



Jeśli spodziewasz się, że ta książka odpowie na twoje najważniejsze pytania lub ukoi twoje widzenie siebie i świata, to się mylisz. To w najwyższym stopniu niepoprawna politycznie książka wolnej Polski, w której Robert Gong dotyka spraw najbardziej bolesnych – utraty oczekiwanego dziecka, ukochanej żony, wyrzutów sumienia, zdarzeń prowadzących do prawie ostatecznego upadku głównego bohatera, ale również przeznaczenia, które podsuwa mu nadzieję i podpowiada, jak naprawić wyrządzone bliskim zło.

To książka tylko dla odważnych, którzy nie lękają się konfrontacji z własnym losem, sumieniem, systemem wartości, czy duszą zrośniętą z nami do końca naszych dni, na dobre i złe. Duszą będącą naszym osobistym wewnętrznym głosem, w której mieszkają na równych prawach z nami nasze czyny, których się dopuściliśmy. To one prędzej czy później nas osądzą i zmuszeni będziemy nie tylko wobec nich dać świadectwo odkupienia swojej winy, ale też będziemy zmuszeni do takiej prostej ludzkiej refleksji nad sobą.

*Redakcja*

